



WYJECHAC ZE STRZEGOMIA

Leo Leszek Kantor *

Są miasta, w których stale jesteśmy, mimo że od dawna w nich nie mieszkamy

Są takie miasta, z których większość mieszkańców chciałaby wyjechać. To miejsca, w których wcale nie warto się zatrzymywać. Nie dlatego, że nie mają jakiegokolwiek znaczenia, czy nie pochodzi z nich ktoś ważny, ale z tego powodu, że niewzruszenie tkwią w swojej skromnej codzienności. Taki jest Strzegom. Miasto na Dolnym Śląsku, 56 kilometrów od Wrocławia.

Niemcy bronili Strzegomia zaciekle, bo w jego okolicach znajdować się miała tajna fabryka amunicji, bez której Hitler nie mógłby się obejść. Na szczęście nie obronili. Po wojnie przybyli tu, nie z własnej woli raczej, ludzie z Kołomyi, Pińska, Stanisławowa, Lwowa, Wilna, Drohobycza. Do nich dołączyli powracający z Syberii, Kazachstanu i Uralu, a nawet z samej Francji. Razem z nimi przybyło parę setek uratowanych z Holocaustu rodzin żydowskich. Już niewielu z żyjących Niemców, którzy opuścili Striegau w 1946 roku, pamięta swoje ogródki pełne drzewek owocowych i krzaków agrestu. Od czasu do czasu przyjeżdżają jednak do miasta, aby się z nim jeszcze raz pożegnać i szybko wyjechać. Żołnierze radzieccy wyprowadzili się ze Strzegomia dopiero na usilną prośbę Lecha Wałęsy. Nawet prywatnie nie odwiedzają już miasta.

Maki, wisnie i pianino

Do Strzegomia dotarłem na wiosnę 1946 roku. Miałem wtedy sześć lat. Jechaliśmy wagonami towarowymi z Jeketerinburga, w ramach repatriacji, przez ponad miesiąc. Pamiętam strach i niewygodę tej jazdy. Ostatnie wagony odczepiali bandyci, pociąg ruszał, a ostatni wagon – przeznaczony przez Boga i przez bandytów do grabienia i zabijania – zostawał gdzieś po drodze. W wagonach z piecykami, z rurą przez dach rodziły się dzieci, stękali starcy, słychać było płacz i kłótnie małżeńskie. Niektórzy modlili się w stronę Izraela – jak to robili nie wiem, bo pociąg często skręcał. Jidisz mieszał się z rosyjskim, potem mówiono po polsku, ale akcent rosyjski w ich polskiej mowie pozostawał do końca życia. Na stacjach biegało się po wrzącą wodę, znany wszystkim wracającym z Syberii kipiatok. Nigdy nie było wiadomo, kiedy pociąg stanie, a kiedy ruszy. Opowiadano, że ludzie zbierali pieniądze dla maszynisty, żeby jechał dalej, bo nieraz transport z repatriantami potrafił stać trzy dni w szczerym polu. Worki z suszonym chlebem, coś w rodzaju sucharów, stanowiły podstawę wyżywienia. Dzieci kąpano w małych, ocynkowanych wanienkach. Za potrzebą wyskakiwało się z wagonu, niektórzy biegli z gaciami w rękach, gdy parowóz gwizdał na odjazd.

Miasteczko przywitało mnie kwitnącymi kasztanami, chabrami i makami. Porównywałem potem kolor tych maków w Hiszpanii, północnych Włoszech, Portugalii, ale nigdzie nie miały one tak intensywnej czerwieni, a ich roztarte między palcami płatki przypominającego tak charakterystycznego zapachu najlepszego makowca na rumie. Przy drogach rosły czereśnie – pokażcie mi gdzieś na świecie drogi obsadzone czereśniami. Matka wzięła mnie za rękę i poszliśmy do ogródków działkowych, pięknie zadbanych, gdzie zjadłem po raz pierwszy w życiu czerwone porzeczki i spróbowałem smaku wiśni nazywanych szklankami. Posadziłem w moim ogrodzie pod Sztokholmem krzaki porzeczki. Każdego roku kiedy dojrzewają, myślę o tych, które pokazywała mi moja piękna matka rok po wojnie, w ogródkach pod Górą Krzyżową, niedaleko zrujnowanych w 70 % przez wojnę domów Strzegomia.

Niemcy opuszczali miasto. Zostawiali posprzątane mieszkania z naczyniami poukładanymi na swoich miejscach w kredensach ze szklanymi drzwiczkami. W naszym mieszkaniu było pianino, na ścianach wisiały obrazy olejne. W piwnicach też był porządek - sanki, narty i łyżwy przechodziły teraz na własność dzieci Holocaustu.

Zanna, pocalunek na schodach

Żydzi szybko się zorganizowali. Nastąpiło połączenie żydowskiej przezorności i potrzeby odbudowania swego życia znowu z polską pokorą i zgodą na to, co Pan Bóg da i władza pozwoli. Z nadzieją na trochę lepsze czasy. Powstały trzy spółdzielnie żydowskie- takie średniej wielkości- po kilkuset zatrudnionych, zakłady trykotażu, mebli i wyrobów krawieckich, w których produkowano meble, sztyto płaszcze i kołdry, robiono swetry. Nie pamiętam, żeby istniały jakieś żydowskie sklepy, te prywatne, były polskie. W pierwszej cukierni „Roma” na Rynku cukierek kosztował 50 groszy. Cukiernia pachniała miodem i wanilią.

Mój ojczym, podoficer Wojska Polskiego, zaadoptował mnie jeszcze w Jekaterinburgu – mój prawdziwy ojciec zginął w pierwszych dniach wojny, gdzieś pod Charkowem. Grzegorz Kantor uratował się cudem z bitwy pod Modlinem niedaleko Warszawy. Wymordowano mu całą rodzinę w getcie w Kołomyi. Całe życie nic nie mówił o czasach swojej młodości. Wspomnił tylko raz, że jego oddział pod Modlinem otoczyli Niemcy. W swoim oddziale znalazł dziesięciu Żydów, jako podoficer Wojska Polskiego obawiał się o swoje życie. Żydzi stanęli – jak opowiadał – przy drzewach i pomodlili się w stronę Jeruzalem. Ojciec był pewny, że ta modlitwa uratowała mu życie. Niemcy wzięli polskich żołnierzy do niewoli i wywieźli ich do pracy – do Bawarii, na południe Niemiec – w gospodarstwach rolnych. Niemieckim bauerom przydzielono do pracy na roli po dwóch żołnierzy. Ojciec uciekł – znał dobrze niemiecki i pieszo poszedł w stronę rosyjskiej granicy. Wysłano go do pracy do fabryki czołgów koło Jekaterinburga ze względu na jego techniczne wykształcenie. Nie wiadomo, co zrobiono z jego polskim kolegą. Można się tylko domyślać, bo był nauczycielem. Na Uralu Grzegorz Kantor spotkał moją owdowiałą mamę i po wojnie nie chciał być w Rosji minuty dłużej niż było to konieczne. Zabrał mnie i moją mamę do Strzegomia.

Zamieszkaliśmy w dwupiętrowej kamienicy, przy ulicy Marszałka Roli Żymierskiego 33, nazwanej potem Feliksa Dzierżyńskiego, dzisiaj zaś Paderewskiego. Kiedyś, za Niemców, ulica nazywała się Wilhelmstrasse. W Archiwum Śląskim w *Adressbuch der Stadt Striegau* można się dowiedzieć, że pod tym adresem mieszkali m.in. kupiec Bruno Kaufmann, nauczyciel Ferdinand Fuchs, Inżynier Paul Rochrbach, szewc Otto Steuer, inspektor podatkowy Paul Walter, dwie wdowy i panna Agnes Schrimmer. Po nich zamieszkali tam: religijny Żyd Lebenbaum, bez zawodu z żoną Idą, też bez zawodu i piękną córką Chają. A także krawiec Krymko z żoną Rają i trojgiem dzieci oraz mechanik w fabryce trykotaży – pan Kornfeld z żoną, niebywałej piękności, Rosjanką Iriną Stepanowną.

Największe mieszkanie miał prokurator wojskowy, który zawsze nosił przy sobie pistolet pan Goryn z córeczką Zanną. To tę dziewczynkę z dwoma warkoczami pocałowałem po raz pierwszy w życiu – na schodach. Ona chciała się ze mną całować, gdy wyjeżdżała z ojcem i matką do Izraela w 1948 r. Do ich mieszkania wprowadziła się potem pierwsza polska rodzina, w której Pan Bogdan (nazwiska dziś nie pamiętam) pracował jako oficer w jakimś pobliskim obozie karnym i chodził w szarym mundurze, czasem nosił przy sobie karabin.

Debaty pod latarnia

Ojciec, wraz z polskimi robotnikami, pracował przy odbudowie fabryczki mebli. Znał się na obsłudze pił taśmowych i tarczowych, a i heblarki i strugarki nie były dla niego problemem. Natychmiast też zaczął budować dom modlitewny - bóżnicę, jak ją nazywał. Budował ją z kilkoma Żydami w pokojach na parterze naszej kamienicy. Był człowiekiem bardzo religijnym, codziennie po pracy czytał Biblię lub chodził bez słowa po mieszkaniu, tam i z powrotem, pogrążony w jakichś bardzo głębokich rozmyśleniach. Wyglądało na to, że tak naprawdę nigdy do Strzegomia nie przyjechał i tak jakby był tutaj nieobecny. Matkę pamiętam ciągle zapłakaną i w nostalgii za swoim pięknym Charkowem, miastem parków, wyższych uczelni, muzyki i teatrów. Jej płacz ciągnie się za mną przez całe życie. Po wojnie, na poniemieckim pianinie marki Seiler, które stało w naszym mieszkaniu, grała rosyjskie romanse. Latem ludzie przystawali pod otwartymi oknami naszego mieszkania, które było na pierwszym piętrze, i słuchali.

Pod koniec lat 40. w Strzegomiu była już żydowska szkoła podstawowa, przedszkole, żłobek, żydowski teatr amatorski, w którym grała moja mama, biblioteka, dom kultury, łaźnia, którą nazywano parówką, wreszcie ośrodek zdrowia. Był także jakiś komitet żydowski, ale mój ojciec nigdy tam nie poszedł. Pewien dość stanowczy facet ciągnął tam Żydów na jakieś partyjne zebrania. Mój ojciec mówił, że to głupek, który nie przychodził do bóżnicy nawet na najważniejsze święto żydowskie Jom Kipur święto Sądneho Dnia kiedy wszyscy Żydzi dokonują rachunku sumienia, odmawiają modlitwy pokutne, wybaczą doznanych krzywd, modlą się za zmarłych i za unieważnienie wszystkich niedotrzymanych zobowiązań człowieka wobec Boga i wznoszą modły pokutne pokutne prosząc o wybaczenie wyrządzonych komuś krzywd. Żydzi strzegomscy, zamiast chodzić na te zebrania, do późna w nocy rozprawiali żywo o polityce – pod gazową latarnią u zbiegu ulic Bolesława Bieruta 2 i Roli Żymierskiego 33. A facet, który naganiał ich na zebrania, potem szybko wyjechał z rodziną do Warszawy i tam zrobił karierę partyjną.

W 1946 roku Strzegom oferował wielkie ilości cegły na odbudowę stolicy. W ten sposób nasze miasto nie tylko przysłużyło się ludziom żywym i ocalałym po wojnie, ale też oddało hołd historii Polski i Szwecji, bo Kolumnę Zygmunta III Wazy w Warszawie wykonano z granitu strzegomskiego.

A jednak czasy nie były dobre dla miasta. Przez dziesiątki lat władzy ludowej Strzegom, jak wiele miast na Dolnym Śląsku, stopniowo zapadał się ze wstydu, jakby nie chciał lub nie mógł pokazać swojego blasku. Ocalone fragmenty ulic stawały się pod władzą ludu smutną prowizorką, a szara tymczasowość zwyciężała na całej linii. Tylko ratusz na rynku i kościół zaświadczały o dawnej urodzie znanej z niemieckich widokówek. Także natura długo stawiała opór władzy, ale w końcu i piękny park u podnóża Góry Krzyżowej został zabudowany monotonnymi domami i już tylko rzeczka Strzegomka płynęła, szemrząc i głaszcząc płaskie kamyki na dnie, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, kto tu rządzi. Magnolie jak gdyby nigdy nie zakwitły każdej wiosny, a na ich kwiaty czekali mieszkańcy Strzegomia, nie zważając, że zapach magnolii może spowodować zawroty głowy a nawet przyczynić się do omdlenia. Mimo odurzającego piękna magnolii Strzegom stawał się coraz bardziej markotny. Kamienice zamieniły się w kwaterunki, mieszkania w nory, zaś obywatele Lwowa, Wilna i Stanisławowa – w prowincjuszy.

Teraz miasto otoczone jest firmami pogrzebowo-kamieniarskimi, handlującymi słynnym granitem strzegomskim, eksponującymi nagrobki różnej wielkości i „na każdą kieszeń”. Tylu nagrobków na metr kwadratowy normalnej, urodzajnej ziemi, nie ma nigdzie, przynajmniej w Polsce. Każda droga dojazdowa, ale też doczesna wędrówka kończy się kamieniem nagrobkowym przy Strzegomiu. A jednak dopiero teraz z miejsciny powoli wynosi się smutek i beznadziejność, zapewne właśnie dzięki granitowym nagrobkom, które przynoszą dostatek wspólnocie miejskiej.

Co jeszcze wypadałoby powiedzieć o tym mieście? Może coś mądrego, na przykład, że Klaudiusz Ptolomeusz (100-168 r.) umieścił wśród swoich map miejscowość Stragona, i że tylko dwa polskie miasta zaistniały w ten sposób w czasach starożytnych? A może opisać kościół św. Piotra i Pawła w którym już w 1318 roku odprawiano nabożeństwa, a nazwany przez Ojca Świętego Jana Pawła II Małą Bazyliką? Wtedy też wypadałoby wspomnieć najstarszy w Polsce zabytek synagogałny z XIV wieku. Tylko, że już go nie ma. Przebudowano go na kościół św. Barbary, kiedy w 1454 roku, przegoniono Żydów z miasta.

Nie potrafię sobie ani moim dobrym znajomym – którzy czasami lubią posłuchać o tym mieście – wytłumaczyć, dlaczego noszę tę ziemię i to miasteczko głęboko w sercu i obdarzam je beznadziejną, głęboką miłością. Miłością, może nawet większą niż uczucie Olgi Tokarczuk do swojej Nowej Rudy, które pozwala pisarce uważać to biedne i skromne miasto na Dolnym Śląsku za piękniejsze od Wenecji. Kto wie, może moje uczucie bierze się stąd, że po łapance w 1968 roku przez ponad dwadzieścia lat zabroniono mi patrzeć na krajobraz dzieciństwa? A może zaznałem tam wiele dobra i ciepła, którego potem nigdzie na świecie nie mogłem – w takim stopniu – doświadczyć? Choćby dlatego, że nauczyciele polscy w naszej szkole głaskali nas, małe jeszcze dzieci Holocaustu, po główkach i zamiast trójki z plusem dostawaliśmy czwórki? Wyrastałem tam wśród ludzi wygnanych, dotkniętych złem ogromnym, ludzi z Kresów Wschodnich i Galicji; Żydów i Polaków, którzy stracili w swoim życiu wszystko oprócz życia. Utracili swoje krajobrazy, pola i wierzby, rzeki, miasta i miasteczka, z których z pewnością nie chcieli się rozstawać do końca swoich dni. Choć przecież są w świecie miasta, które chciałyby się opuścić. A jednak oni znaleźli się na innej ziemi, w małym miasteczku, w którym zło – pomimo ruin – było niezauważalne, a już na pewno w codzienności swojej mniej widoczne. Było tu więcej życzliwości niż brudu, więcej spokoju niż trwogi.

Po Kielcach 1946

Spółeczność żydowska miasta miała też wiele obaw, zwłaszcza po 4 lipca 1946 roku, gdy w Kielcach – spośród 150 osiadłych tam Żydów postrzelono lub pobito 42 osoby, które w następstwie obrażeń zmarły, zaś 40 zostało zranionych. Wtedy, Żydzi na całym Dolnym Śląsku zaczęli po cichu, pomiędzy sobą mówić o tym, że trzeba jechać gdzieś dalej. Problem był tylko jeden – dokąd? Izrael dopiero powstawał i jedynie z trudem, przez radiostację Kol Israel nadającą w języku jidisz, można było odebrać w Strzegomiu informacje o tym, co się tam dzieje. Trzeba było tylko mieć dobre radio. Mimo tego, jeszcze przez wiele lat Żydzi i Polacy nie wyjeżdżali z miasta i żyli ze swoimi sąsiadami w szacunku i zgodzie. I w Strzegomiu nikt nie zginął, chociaż w tym małym miasteczku po wojnie było dziesięć razy więcej Żydów niż w Kielcach.

Chociaż los, lub tylko generał Moczar, rzucił mnie o prawie dwa tysiące kilometrów od Strzegomia, to myślę o nim coraz częściej. W moim pięknym domu pod Sztokholmem posadziłem w ogrodzie porzeczki i agrest,

magnolia tutaj, na północy, nie bardzo mogłaby kwitnąć, ale dwie czereśnie rosną pięknie. Kiedy już wszyscy spią, zaglądam teraz coraz częściej do Internetu, szukając choćby wirtualnie krajobrazów dzieciństwa. I chcę sobie zachować prawo jeżdżenia do Strzegomia, jak długo będę miał siły prowadzić samochód przez dziesięć godzin – z promu w Gdańsku, w stronę Wrocławia przez Bydgoszcz, Konin, i Kalisz. Nie mam tam już nikogo ze znajomych, z nikim nie mam powodu, ani obowiązku, rozmawiać. Nic nie załatwiam, nie zakładam żadnej fundacji, nie buduję wielopiętrowego budynku z apartamentami, jako centrum kultury żydowskiej, nie próbuję odebrać mienia, ani szukać pianina mojej matki – a jednak muszę tam być, chociaż od czasu do czasu. Objeżdżam miasto, zaglądam do starego kina Muza, w którego drzwiach są te same dwie dziury, przez które oglądaliśmy film, gdy nie mieliśmy trzech i pół złotego na bilet. Patrę na te same topole – dwadzieścia pięknych, wysokich drzew – na swój dom i na Górę Krzyżową. Potem jadę zobaczyć kąpielisko, nad którym stało ponad pięćdziesiąt lip. W ich cieniu, a lata bywały czasem bardzo gorące, siadali moi rodzice i przygotowywali piknik. Spoglądam na cudne aleje różane wokół dwóch basenów i zaglądam do fabryczki mebli, w której pracował mój ojciec. Potem przysiadam na Rynku przy Ratuszu. Nikogo nie szukam, nikogo nie zaczepiam. Chcę być sam na sam z miastem, z ludźmi, z którymi nie rozmawiam, ale którzy, pomimo bolesnej niemal, obcości są mi bliscy. Wszystko to trwa mniej niż godzinę – na więcej nie starcza mi sił. Całe miasto można objechać w ciągu pięciu minut. Wracam potem do Szwecji, zatrzymując się tylko na cmentarzu żydowskim we Wrocławiu. Pochowana jest na nim moja matka, która zmarła w wieku 49 lat. Mój mądry ojciec Grzegorz Kantor w lipcu 1968 roku postanowił pochować ją we Wrocławiu, a nie w małym sztetlu na Dolnym Śląsku. Sztetł już od lat nie istnieje, bo wszyscy Żydzi dawno z niego wyjechali. Znajdą się przecież zawsze takie miasta, z których trzeba koniecznie wyjechać.

Istnieje jeszcze w Strzegomiu cmentarz żydowski. Większość macew jest przewrócona, ale kilka nagrobków jeszcze stoi. Jeden z nich jest nawet czysty i zadbane, ktoś przysyła pieniądze z USA a polska rodzina opiekuje się grobem niejakiego Pinchasa, który urodził się w 1872, a zmarł w 1946 roku. Powoli dochodzę do siebie w samochodzie, pędząc przez całą niemal Polskę do Gdańska. Im dalej od Strzegomia, tym jest mi lżej na sercu. Dopiero gdzieś w okolicach Tczewa wracam do normalnego stanu ducha.

Ojciec oddał paszporty

Po Pogromie Kieleckim strach padł na miasteczko a ojciec na noc zaczął ryglować drzwi dodatkowo żelazną sztabą. Matka płakała jeszcze głośniej, najdłużej w soboty, żałąc się na ojca, który ją przywiózł tu z Charkowa. Chlipiąc, mówiła, że może lepiej trzeba było jechać do Australii lub Kanady, bo dalej od Strzegomia już nie było można. Kiedyś ojciec przyniósł do domu paszporty do Izraela, ale matka zaczęła szlochać jeszcze głośniej. Przez lzy i szloch dobiegały słowa, że nigdy w życiu nie zobaczy Charkowa. Ojciec oddał paszporty.

Pan radca Raczyński ubrany w elegancką, trochę przydługą marynarkę, przychodził do nas w niedzielę wieczorem. Siadali z ojcem przy radiu i słuchali Wolnej Europy, a potem szeptali coś po cichu. Ojciec nie chciał, żebym coś słyszał, dlatego stale odganiał mnie od radia. Pan Raczyński pracował jako stróż w fabryczce mebli, przed wojną był prawnikiem, w czasie wojny – oficerem AK. Zazwyczaj przychodził do nas, gdy w Strzegomiu coś się działo: brakowało chleba, wprowadzono jedzenie na kartki, zmarł Józef Stalin, albo zmieniano nazwy niektórych ulic. Radca Raczyński uważał, że ukryje i przechowa się łatwiej w małym miasteczku, bo do najbliższej komendy UB w Świdnicy było aż 18 kilometrów. Pewnego dnia ojciec poszedł do prezesa spółdzielni, poprosił, by radcę przeniesiono do działu księgowości. Nie uchodziło przecież, by przedwojenny prawnik w eleganckiej marynarce czy adwokat był stróżem. Prezes zgodził się tylko dlatego, że nikt inny oprócz mojego ojca, po wojnie, w Strzegomiu nie potrafił przewinać rotoru motoru elektrycznego. A motory w fabryczce mebli paliły się parę razy w miesiącu, bo praca odbywała się na dwie zmiany.

Kiedyś, w czwartej klasie szkoły podstawowej TPD podniosłem rękę i powiedziałem naszej pani nauczycielce od języka polskiego, pani Jaskulskiej i całej klasie, że wiem, dlaczego w Polsce nie ma mięsa. Zapytała: „Kantorek, dlaczego?” Odpowiedziałem, że dlatego, bo w Polsce jest Świnoujście, a tam jest dużo rosyjskich statków. „A skąd to wiesz?” – padło kolejne pytanie. „A bo mój tata i pan Raczyński słuchają Radia Wolna Europa i tam tak mówią” – odpowiedziałem. Pani Jaskulska nie poszła na UB, tylko poprosiła mojego ojca na rozmowę. Ojciec przestrzegł mnie później, żebym nigdy o tym nie mówił, bo za to idzie się do więzienia.

Dla chłopaków Strzegom był marzeniem, pełno tu było pordezwiątych karabinów, mnóstwo gruzów do zabawy w wojnę, podchody lub chowanego. Przepiękne baseny, ogromne parki z kasztanami, ogródki działkowe, zapraszały latem do kradzieży jabłek papierówek, wiśni, czereśni, śliwek, moreli i brzoskwiń. Zadbane boiska i korty tenisowe, pachnąca cukiernia „Roma”, a po jej zamknięciu cukiernia, która istnieje do dziś – Chabierskich, przy ulicy Kościelnej, w której wypilem pierwszą w życiu kawę.

Dzieci polskie bawiły się z żydowskimi. Jedyne dwie dziewczynki niemieckie stały zawsze obok, patrzyły na nas, przyglądały się zabawom z pewnej odległości i obawiały się do nas podejść. My ich nie odtrącałyśmy, ale i nie zapraszałyśmy do zabawy. Ich młoda matka postradała zmysły, kiedy dowiedziała się, że jej mąż zginął na froncie. Nie potrafiła mówić, bełkotała coś pod nosem, chodziła przez okrągły rok w używanym futrze i czapce, zbierała ogryzki, resztki chleba i pakowała do torebek – miała ich zawsze sporo przy sobie. Miała na imię Lusia, a my przezywaliśmy ją „Lusia-wariatka”. Zarabiała na utrzymanie myjąc podłogi w polskich i żydowskich domach. Ktoś opowiadał, że została zgwałcona przez rosyjskich żołnierzy. Musiała być piękną, wysoką, smukłą kobietą, która swoją urodę i piękność zachowała jeszcze po wojnie, chociaż jej wzrok przypominał spojrzenie półdzikiego kota.

Są takie miasta na świecie, z których nikt nie chce wyjechać, chociaż musi. Niemcy opuszczali Striegau przez kilka kolejnych lat po wojnie, jechali małymi wózkami na dworzec oddalony trzy kilometry od centrum miasta. Zostało ich niewiele, między innymi ta Lusia i jej dwie córki. Niedawno odszukałem jedną z dziewczynek, których matka nie była w stanie zapakować swoich rzeczy i pójść wtedy na dworzec. Chciałem zaprosić ją na kawę w kawiarni u Chabierskich i przeprosić za tę niechęć do nich wtedy, kiedy chciały do nas podejść. Jej młodsza siostra wyjechała do Niemiec. A ona mówi teraz, że jest Polką i nie ma nic wspólnego z Niemcami.

Na co czapki w Izraelu

Żydzi zaczęli się szykować do wyjazdu po „wypadkach kieleckich”. Zaczęli wyjeżdżać po śmierci Stalina w 1953 roku, ponieważ było łatwiej o paszport. Potem – po 1956 również. Na początku lat 60. mieszkało w Strzegomiu już tylko kilkanaście rodzin żydowskich. Byłem przerażony, że zostanę sam, a moich kolegów już nigdy nie zobaczę. Moi polscy koledzy mieli fajniejsze życie, było ich więcej. Na Boże Narodzenie mieli choinkę, którą mi oddawali po Trzech Królach. Zawieszałem tam jakieś jabłko i trochę kolorowych papierków, bo ani jednej prawdziwej bombki u nas w domu nie było. Koledzy Rysiek Nowiński i Rysiek Woźnica z siostrą Krysią kazali mi czekać w oknie jak wracali z Pasterki. Rzucili śnieżką w okno i powiedzieliśmy sobie „hej”. Tak mało i tak dużo zarazem. Potem „dorośliśmy” i rozjechaliśmy się po szkołach i internatach.

W 1968 roku w mieście były tylko cztery rodziny żydowskie. Wyrzucony z pracy po Marcu 1968, z uczelni w Opolu – gdzie stałem się „zwierzyną łowną” – pakowałem się do wyjazdu w Łodzi, gdzie mieszkała moja żona. Pojechałem pożegnać się ze Strzegomiem. Nie byłem tam od dziesięciu lat, bo rodzice mieszkali potem w Świdnicy. Obszedłem miasto, pogrążony w straszliwym smutku, wszedłem do pracowni czapnika Samuela Ledermana i zapytałem go, dlaczego nie wyjeżdża. Odpowiedział, że ma żonę Polkę i boi się, jak ona mogłaby zostać przyjęta w Izraelu. Potem powiedział do mnie: „Ja panu coś powiem. Ja tylko umiem szyć czapki, a kto potrzebuje czapek w Izraelu? Mam też nowy rower, niech pan popatrzy jakie tu są szprychy. Słyszałem, że celnicy wyrzucają z bagażu wszystkie nowe rzeczy”. Spojrzał na mnie smutnym wzrokiem. Wyszedłem i poszedłem na stację kolejową.

Nie byłem w Polsce przez dwadzieścia lat. Nie wpuszczano mnie. Przyjechałem dopiero w 1989 roku, jak skreślono mnie z „czarnej listy wrogów PRL”. Pojechałem do Strzegomia. Był koniec maja, ani jednego samochodu na drodze, bo benzyna była na kartki. Zatrzymałem się przy wjeździe do miasta, rozpoznałem Górę Krzyżową i tych dwadzieścia wysokich topoli, ale nie miałem siły tam wjechać. Otworzyłem drzwi od samochodu, włączyłem radio na cały prawie głos, żeby rozproszyć smutek pomieszany z żalem za czymś, czego sam nie umiałem określić. Posiedziałem w rowie wśród tych samych maków i chabrów, które w 1946 roku przywitały moich rodziców i trochę uratowanych z wojny dzieci Holocaustu. Pomyślałem, że oddam w ten sposób hołd tej ziemi, która wtedy mnie przyjęła i przyjadę za rok, rozkładając na raty niezrozumiały, ściskający gardło, straszliwy ból.

Są miasta na świecie, z których należy zawsze wyjeżdżać.

Są miasta, w których mieszkamy, ale jesteśmy w nich nieobecni.

Są miasta, w których stale jesteśmy, mimo że już od dawna w nich nie mieszkamy. Do nich należy Strzegom, 56 kilometrów na południe od Wrocławia.

*** Leo Leszek Kantor (ur. 1940) - sławista, usunięty po Marcu '68 z pracy w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, publicysta. W latach 1970-2005 związany z Uniwersytetem Sztokholmskim. Od 1990 r. szef Międzynarodowego Forum Kultury w Szwecji, od 1999 dyrektor Międzynarodowego Festiwalu Filmów Dokumentalnych "Człowiek w świecie", od 2005 szef kolegium polsko-szwedzkiego kwartalnika "Suecia-Polonia". Mieszka pod Sztokholmem

